Kraków, 8-go marca 1914 r.

Rok 10. Nr. 5.

Dzwonek.

Gazetka dla dzieci.

Dodatek do „Prawdy“ nr. 10.

Dzieci kochane!

Zaczął się Wielki Post, i Wielkanoc się zbliża. Kościół święty nakazuje nam w czwartem przykazaniu kościelnem, abyśmy w czasie wielkanocnym przyjęli Komunię św. Wiele z was po raz pierwszy w tym roku tego szczęścia dostąpi — inne już kilka i więcej razy spowiadały się i Komunią św. przyjęły. Ale wszystkim wam trzeba zawsze pamiętać, że aby spowiedź i Komunia św. przyniosła wam pożytek, trzeba się dobrze przygotować. Wiecie z katechizmu, że dobra spowiedź zaczyna się od modlitwy i rachunku sumienia, poczem trzeba wzbudzić żal za grzechy i przeprosić za nie P. Jezusa. O tem i w pisemku waszem czytałyście niedawno; kto czytał uważnie, przypomni sobie, że wielkie to złe, grzech choćby powszedni, bo Pana Boga obraża i zasmuca, dla P. Jezusa jest jakby nową męką, a ściąga na nas kary. Jest więc za co żałować, gdy zgrzeszysz, choćby to tylko był mały jaki grzech. Czasem dzieci myślą, że, aby żałować za grzechy, trzeba płakać i smutnym być. Pewnie, że jest czego płakać i czego być smutnym, gdy zgrzeszysz, — ale nie żąda P. Bóg od nas tego; chce tylko, abyśmy Go przeprosili, grzechem naprawdę się brzydzili i nie chcieli go już nigdy popełnić, czyli obiecali szczerze poprawić się. Powiedz dziecko Panu Jezusowi krótko, ale serdecznie i szczerze: „Jezu, Tyś taki dobry, a ja ciebie grzechami obraziłem. Bardzo mi to przykro i bardzo Cię przepraszam. Już się poprawię i więcej grzeszyć nie będę“.

JAK TO BYŁO W POLSCE.

(OPOWIEDZIAŁ DZWONNIK).

(Ciąg dalszy.)

Swięty Wojciech.

W czasie, kiedy w Polsce rządził i panował Bolesław Chrobry, żył w Czechach mąż święty, Wojciech, z rodu książęcego Sławników pochodzący.

Tak jak wszystkich swych synów, tak i Wojciecha przeznaczał ojciec, komes Sławnik do stanu rycerskiego; inaczej jednak Bóg rozporządził. Zdarzyło się bowiem, że dziecię zachorowało niebezpiecznie, a stroskani rodzice ślub uczynili, że jeżeli wyzdrowieje, stanowi kapłańskiemu je poświęcą. Jakoż wyszedł z choroby Wojciech, a matka, wierna uczynionym ślubom, natychmiast uczyć go poczęła psałterza i innych nauk religijnych; gdy podrósł, oddano go na dwór arcybiskupa Magdeburskiego Adalberta.

Tam zasłynął Wojciech wkrótce cnotami pobożności i nauki tak, że mówiono: na tym młodzieńcu spoczywa błogosławieństwo Boże. Arcybiskup wyświęcił Wojciecha na kapłana i dał mu przytem swe imię: Adalbert.

Po śmierci arcybiskupa Adalberta wrócił Wojciech do Czech i pracował przy biskupie Detmarze. a gdy ten umarł został arcybiskupem praskim.

Ciężki to był urząd. Namiętności grzechowe rozpasały się były wówczas w całym kraju czeskim. a gdy biskup karcił swawole i do poprawy grzeszników napominał, nie słuchali go ani świeccy, ani duchowni, lecz przeciwnie lżyli go, oburzali się i grozili zemstą.

Po pięciu latach ciężkiej walki ze złem, opuścił biskup Wojciech Pragę i udał się do Rzymu, aby u Ojca św. wyprosić pozwolenie i błogosławieństwo na podróż do Ziemi Swiętej. Kiedy jednak w drodze do Ziemi Sw. zatrzymał się w klasztorze Montecassimo, tak sobie upodobał życie zakonne, że zaniechał podróży a wróciwszy do Rzymu w klasztorze śś. Bonifacego i Aleksego na górze Awentyńskiej przyoblekł habit zakonny dnia 17-go kwietnia r. 990.

Kilka lat pozostawał biskup Wojciech w zakonie, ale kiedy w Czechach stosunki tak się pogorszyły, że wiara

katolicka istotnie była zagrożona, rozkazał mu Ojciec św. wrócić do Czech i zasiąść ponownie na stolicy biskupiej w Pradze.

Wyruszył tedy mąż święty do Czech, zabrawszy z sobą dwunastu zakonników do pomocy w służbie Bożej. Czesi przyjęli biskupa z zapałem i przyrzekli solennie poprawę.

Książę czeski Bolesław dotrzymał przyrzeczenia i we wszystkiem słuchał biskupa; rycerstwo jednak i ziemianie wciąż się burzyli, gdy biskup tępić chciał szczątki pogaństwa i zaprowadzać życie i zwyczaje katolickie.

Kiedy na czele tych buntowników stanęła rodzina Werszowców, która od wieków prowadziła spory z rodziną Sławników i kiedy nawet zbrojne napaści urządzano na dom biskupa, Wojciech, choć z żalem i płaczem, powtórnie opuścił Pragę i udał się do Rzymu, gdzie go bracia zakonni z miłością przyjęli i przeorem obrali.

Zdarzyło się wkrótce potem, że król polski Bolesław Chrobry upraszał Ojca św. o przysłanie kapłanów, gotowych szerzyć wiarę katolicką w Polsce i na pogańskiem Pomorzu. Usłyszawszy o tem Wojciech pospieszył do Polski, gdzie go Bolesław przyjął z okazałością wielką a lud z uniesieniem słuchał jego nauk. Przez rok cały apostołował Wojciech w Krakowskiem i na Sląsku, gdzie dotąd istnieją pamiątki jego tam pobytu. Potem przez Wielkopolskę podążył na Pomorze aż do Gdańska, gdzie nawracanie pogańskiej ludności poszło bardzo łatwo. Lud przeczuł w świętym mężu wybrańca Pańskiego, uwielbiał jego dobroć serca i słuchał słów miodowych, które na serca padały niby balsam wiary, nadziei i miłości.

Nawróciwszy Pomorze udał się Wojciech do sąsiednich pogańskich Prusaków, którzy dotąd nic jeszcze o chrześcijaństwie nie słyszeli. Na granicy odprawił orszak zbrojny, który mu dotąd z polecenia Bolesława towarzyszył a zatrzymał przy sobie tylko brata swego Radyma i młodego zakonnika ks. Benedykta. „Miłości siewcą jestem, nie gwałtu — mówił. — Gdyby przy mnie włócznie i miecze zobaczono, pomyślanoby, że siłą chcę nawracać, a to byłoby wielką dla kapłana chrześcijańskiego ujmą.“

I tak wszedł św. Wojciech w kraj pogański, przybrany w szaty kościelne, odśpiewując psalmy i marząc o męczeństwie.

Lecz Prussowie przyjęli apostołów nowej wiary z oburzeniem.

— Biada nam! — wołali. — Mamy własne prawa i obyczaje i według nich żyjemy, a wy, kórzy nowy zakon przynosicie, ustąpcie natychmiast, inaczej... śmierć was czeka.

Przez cztery dni chodzili apostołowie, przepędzani z miejsca na miejsce, nie mogąc skłonić żadnego mieszkańca do uwierzenia w prawdziwego Boga. Nikt nawet gościny im dać nie chciał w swym domu, bojąc się kary.

Piątego dnia strudzeni wielce zatrzymali się na niewielkiej polanie wśród puszczy. Radym Mszę św. odprawił, przy którym chlebem Żywota się posilili, poczem ułożywszy się na mchu, zasnęli.

Nie wiedzieli święci mężowie, że wielkie w oczach pogan popełnili świętokradztwo, gdyż polana owa była miejscem, poświęconem bogom, na które tylko kapłani mieli dostęp wolny.

Więc zaledwie zasnęli, opadła ich zewsząd czerń pogańska, powrozami ich skrępowała i na pobliskie wzgórze zaprowadziła.

Gdy stanęli na szczycie, odezwał się jeden z pogan, starszy wiekiem, głosem surowym:

— Znieważyliście nasze miejsce święte, musicie umrzeć.

A święty Wojciech odrzekł na to:

— Jam tylko winien, mnie więc ukarzcie, zaś towarzyszom moim pozwólcie odejść do ziemi ojczystej.

Na to kapłan Siggo natychmiast łuk wycelował, strzała syknęła i w piersi świętego Wojciecha utkwiła, poczem siedmiu Prusaków utkwiło w nim swe oszczepy.

Swięty Wojciech stał jeszcze chwilę z oczyma wzniesionemi w górę, modląc się za morderców; dopiero gdy więzy zeń zdjęto, padł na ziemię.

Tak skończył Apostół Męczennik w dniu 23-go kwietnia r. 997 na miejscu, gdzie dziś stoi miasteczko Fischhausen.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Ale Marysia sierotka pasła gąski swoje osobno pod lasem. Siedem ich tam było, więc im gospodyni dogodzić chciała i na wspólne pastwisko nie dawała gnać. Dziewczynina też rada temu była, bo się inne dzieci z niej śmiały, a to, że w zajączka nie dość prędko biega, a to, że z dziewczynami tańcować po trawie nie chce.

Słuchała też, nasłuchiwała Marysia sierotka, nie czując nieraz w tym zasłuchaniu ni głodu, ni chłodu; a kiedy słońce zaszło i do domu trzeba było wracać, nie wiedziała sama, jak ten dzionek przeleciał.

Ani też jej w głowie nie postało, że z zarośli bobrowych patrzy na nią i wygląda wzrok lisa, zwanego Sadełkiem, który sobie w tym lesie norę uczyniwszy, po stronach węszył, skądby jaki dobry kąsek uchwycić. Szczególniej do gęsiny czuł wielki apetyt. Dużych stad gęsi, strzeżonych przez tęgich pastuszków, unikał zakładając głównie swe nadzieje na siedmiu gąskach przez Marysię pasionych, i codzień bliżej podkopywał się zcicha krzaczkami ku łące.

Bezpiecznie pasła swe gąski Marysia, nic o tym nie wiedząc; bezpiecznie o zmroku do zagrody stadko swe gnała, a pomocnym w tym był mały, żółty piesek Gasio, który, ogromnie przez dziewczynkę polubiony, całe dnie przy niej na łączce przesiadywał.

Lis Sadełko wielką złość czuł do Gasia.

— Obrzydliwe psisko! - mówił nieraz sam do siebie, spluwając i krzywiąc się szpetnie. Nigdym szkaradniejszego stworzenia nie widział! Co to naprzykład za uszy! Spiczaste jakieś, ostre zupełnie, dla psa niestosowne. Albo szerść? Toć on rudy, jak Judasz, zdrajca! Co to za paskudny charakter być musi. Darmozjad z niego skończony! Czy kto widział, żeby porządny pies cały dzień na jednym miejscu siedział i mizernych siedmiu gęsi pilnował? Sam widok jego o mdłości mnie przyprawia.

Tu wzdychał tak mocno, że aż mu się wąsy podnosiły u nosa i, przymknąwszy jedno oko, drugiem śledził poruszenia Gasia, gąsek i Marysi.

— Hej! maleńka — zawołał lis Sadełko do młodej wiewióreczki, która, siedząc na sośnie, łuskała szyszkę.

— Czemu żywisz się samemi szyszkami, czy nie lubisz orzeszków?

— Nawet nie wiem, jak one smakują, bo ich jak żyję nie jadłam. W całym naszym lesie ani jednego krzaczka leszczyny niema.

— A ja znam śliczny gaik leszczynowy i ztąd niedaleko — powiedział Sadełko, chytrze błyskając ślepiami.

— Czy może być? Mój lisku kochany, pokaż mi do niego drogę? — prosiła wiewióreczka, składając łapki.

— Owszem, owszem, czemuby nie — odpowiedział lis, — ale tylko pod jednym warunkiem. Widzisz, wiewióreczko, jest tu w okolicy pies, którego znosić nie mogę. Cały dzień pilnuje on siedmiu mizernych gąsek, którym przecie nic złego nie grozi. Przychodzi on razem z małą, obdartą dziewczyniną i z temi nędznemi gęśmi aż tu na łączkę pod lasem, wprost mego mieszkania i zatruwa mi życie swoim widokiem. Otóż, moja maleńka, zrób mi tę przysługę i jak tylko dziś przyjdzie, podrażnij go trochę, żeby sobie odszedł do lasu, a ja ci za to pokażę drogę do gaiku.

(Ciąg dalszy nastąpi).

KUNA.

Zwinięta w kłębek, leżała kuna w dużej dziubli starego drzewa. Przymrużyła oczy, ogonem się przykryła i tak sobie marzy:

Udało mi się, pysznie mi się udało! Wszystkie jaja ptaszkowi wilgze powypijałam. To się zdziwi! Ale to głupi ptak, ani się domyśli, kto mu takiego figla wypłatał. Wrzasku po lesie narobi. Albo znowu awantura z królikami! Któżby potrafił zręczniej się uwinąć! Stare króliki pierwszy raz wyprowadziły swoje maleństwa z nory. Skacze to wszystko jak niedołęgi i na światło patrzeć nie może. Przyprowadzono je na łąkę do jakiejś trawy soczystej, dorwały się do niej, jakby nigdy nic lepszego nie miały, zajęły się swoiem jadłem i o Bożym świecie nie wiedzą. A ja z pod krzaka wtedy wypadam i nuż dusić. Ani się obejrzały króliki, jak czworo na miejscu położyłam. Napiłam się krwi

ich do syta. O! smaczna była! świeża! Mięso zostawiłam, co mi po niem, nic tak szczególnego!

Tu kuna wysunęła język, parę razy oblizała pyszczek, jakby resztki krwi chciała na nim znaleźć.

Nie zawsze taka uczta przytrafiała się, nie zawsze.

Zasnęła kuna.

Spała przez całe południe i dopiero nad wieczorem się obudziła! Przetarła oczy, przeciągnęła się parę razy na swojem posłaniu, wreszcie wstała i wyjrzała przez szparę. Słońce już było blizko zachodu.

Trzeba wyruszać, czas na łowy, w kurniku już zapewno śpią. Długo tym razem nie wracała kuna do swej dziupli. Nazajutrz dopiero, nad wieczorem wpadła zdyszana. Była tak zmęczona, że w jednej chwili usnęła.

Jak długo spała, nie pamięta, wiatr ją obudził.

Otworzyła oczy i zaczęła sobie przypominać, co onegdaj zaszło.

— Ej, — nie przed takiemi zwierzętami uciekałam! — A to zawsze ten głupi kogut narobi tyle kłopotu. Cichutko dotarłam się do kurnika i jedną tylko kwoczkę porwałam. Jedną kwoczkę, to wielkie rzeczy! On zaraz ogromną zrobił awanturę, obudził kurnik cały.

Wtem psy ujadać zaczęły, pognały, popędziły za mną. Pół dnia musiałam się po polu nie wiedzieć gdzie błąkać. Wszystko to są strachy na lachy, jestem już stara kuna, potrafię z każdej biedy wyjść na sucho. Ale to już czas na mnie, czas...

Wstała, pogładziła swoje futerko i oczyściła ze słomy.

— Jak to szczęśliwie — pomyślała, — że mam takie ciemne futro, nikt mnie wieczorem nie spostrzeże. — Biegnie kuna, prześlizguje się niespostrzeżenie koło budynków i nagle staje.

Widzi, — przy samym kurniku leży jajko. Patrzy i niedowierza, żeby tak smaczny kąsek, tak łatwo przyszło jej zdobyć. Rzuca się na jajko, porywa je, a tu kłap! Coś straszliwie huknęło — pułapka się zapadła.

W parę tygodni później, gospodyni miała mufkę z ładnego futerka kuny.

Taki był koniec sprytnego zwierzątka.

O lisie Sadełku, piesku Gasiu i o dobrym Krasnoludku.

Była sobie Marysia sierotka, co miała włoski, jak słoneczne światło, oczy jak fijołki leśne, a w sercu tesknotę i żałość.

Pracowała, co sił miała i jak mogła, za ten kąt na cudzym zapiecku, za tę garść słomy, na której sypiała, za tę łyżkę strawy, którą się pożywiła, za tę zgrzebną koszulinę, która jej grzbiet kryła. Kolebała zimą dziecko, nosiła chróst z boru, ze studni wodę, latem gąski pasła.

Nazywali ją też ludzie we wsi: Marysią gęsiarką, albo Marysią sierotką.

Nazywali ją tak rok, nazywali dwa, aż zupełnie zapomnieli, że się ta dziewuszka Kukulanką nazywa.

Ona sama, gdy ją kto zapytał: — Jak się zowiesz, dziewczę? — odpowiadała:

— Marysia sierotka.

Łączka, na której pasła gęsi Marysia sierotka, leżała pod lasem, dość daleko za wsią, zwaną od dawien dawna Głodową Wolą, iż tam ziemie chude były, mało chleba dawały, a ludzie częściej głodni, niż syci byli.

„Staja piasku, staja wody,
Rok urodzaj, a dwa głody!“

Na tych małych trawach, na tych dużych wodach, hodowały się całe stada gęsi, a jak to wszystko zaczęło rwać się, trzepotać, a gęgać, a wrzeszczeć, to dobrze o milę wokół słychać było. Wszystkie dzieci we wsi robotę z temi gęśmi miały, pasąc je gromadą, albo poosobno, jak tam któremu w chacie przykazali.

Dopiero pod wieczór rozdzielała się gromada na pomniejsze stadka i każdy swoje do domu gnał.

Już też wtedy nic innego w całej Głodowej Woli słychać nie było, tylko:

— Halela, gąski!... halela! halela! do mnie!...

A do tego taki z biczów trzask, jakby wesele jechało.

Długo jeszcze po zachodzie słońca uspokoić się nie mogło gęganie w zagrodach i chlewkach: a i w nocy m zi... ni zowąd powstawał nagle wrzask gęsi na całą okolicę.